Podkarpackie wojaże

„Ależ heca, nie wierzę!” – zakrzyknął Andrzej z Drohobyczki, gdy jego żona Bożenka podała mu na śniadanie dwa croissanty z konfiturą i świeżo zaparzoną mokkę. Ten ultraobżartuch ni stąd, ni zowąd wkradł się chyłkiem do biało-zielonej kuchni, aż zatrzeszczały jasnokremowe żaluzje, po czym, trzęsąc półnagim brzuchem wychylającym się zza przykrótkiego podkoszulka, znienacka chwycił małżonkę wpół. Oznajmił gromko, że dziś wyruszają na górską wyprawę. Bożenka, na co dzień rozchwytywana mistrzyni żelowych i hybrydowych paznokci, żachnęła się zrzędliwie znad filiżanki z cappuccino, po czym ruszyła pakować sakwojaże   
i trzyipółletniego psa, choć nie marzyła o opuszczeniu Pogórza Dynowskiego.   
W tym czasie jej mąż przeglądał około trzytygodniowe oferty noclegów ekoturystycznych w Horyńcu-Zdroju i Mrzygłodzie, a nawet w Berehach, gdzie spędził ostatnie andrzejki. Wspominał niebosiężne szczyty Połoniny Wetlińskiej   
i Chryszczatej, które przemierzał wraz z towarzyszami wycieczek – świeżo upieczonymi inżynierami i swoją eksnarzeczoną, cherlawą nowotarżanką Kazimierą.

Rozchełstana Bożenka nie zamierzała dać się zapędzić na górskie szlaki ani oganiać od nienażartych komarów i krwiożerczych meszek nad Jeziorem Solińskim. Żądanie niewydarzonego brzuchacza uznała za faux pas. Postanowiła, że sprzeciwi się mężowskim mrzonkom. „Znalazł się quasi-obieżyświat!” – prychnęła. Wyobrażała sobie, jak podąża krużgankami krasiczyńskiego zamku, wiruje w tańcu pod kryształowymi żyrandolami sali balowej w Łańcucie i podziwia Podziemną Trasę Turystyczną w Jarosławiu, którą oglądała z Grażyną z Sandomierza, marzącą   
o karierze w show-biznesie [show-businessie]. Były z nich papużki nierozłączki   
i wciąż strzelały sobie selfie w pierzejach nieopodal kamienicy Orsettich [Kamienicy Orsettich]. A nuż nadarzy się okazja, by spożyć minikanapeczki z rzeżuchą   
i bakłażanem lub pepperoni w da Salvatore [Da Salvatore]. Westchnąwszy przeciągle, upchnęła w walizce żorżetową szmizjerkę i żakardowy żabot, pudroworóżową halkę, beżowo-żółte poncho [ponczo] i półbuty z wężowej skórki.

Tymczasem zhardziały Andrzej przemierzał wte i wewte [w tę i we w tę] jasnozielony trawnik, drepcąc po przywiędłych hortensjach. Mógłby odwiedzić Prządki lub Karpacką Troję w Trzcinicy. Później zamierzał puścić się kłusem na chyżym hucule albo ruszyć na łów w nieprzebyte bieszczadzkie ostępy nad brzegami Hoczewki lub innej leśnej strużki. Już czuł się jak honorowy husarz pędzący wśród łanów pszenicy – podkręcił wąsa, przeglądając się w lśniącej masce mercedesa ze skórzaną tapicerką. Chrząkając, wspomniał jeszcze o wspinaczce na przemyski Kopiec Tatarski. Gdy usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk, silnik zarzęził przeciągle. „Tośmy pojechali” – rzucił wkurzony. „Andrzeju, nie denerwuj się. Słuchać hadko” – skarciła go naprędce Bożenka.